

Dzieckiem być

To był szczególny dzień dla naszych dzieci: pierwszy września - początek roku szkolnego. Widok znany nam od lat. Tłumy dzieci i młodzieży na galowo, białe bluzki, ciemne spodnie i spódnice. Przyzwyczailiśmy się już do niego. Przyszedł wrzesień, więc oczywiście rozpoczyna się nowy rok szkolny. Dzieci pełne wakacyjnych przeżyć wchodzi w system sprawdzianów, zdobywania wiedzy, kształtowania zainteresowań i budowania relacji. O czym tu właściwie pisać? Szkoła jest obowiązkowa przez kilkanaście lat w życiu, a na tych, którzy z owego przywileju/przymusu skorzystać nie chcą, czekają grzywny i problemy.

Jednak ta oczywistość szkoły w wielu miejscach na świecie jest przywilejem tylko niektórych. Trudno pojąć sytuację milionów dzieci skazanych na zapomnienie, bez szansy na to, że coś w ich życiu się zmieni.

Mali jest krajem dzieci i młodzieży. Aż 50% populacji nie skończyło jeszcze osiemnastu lat. Daje to około sześć milionów umysłów, które wymagają pomocy w kształtowaniu, chłonnych i gotowych, aby je wypełnić. Niestety, tylko około 1/3 z nich dostanie taką szansę. Pozostałe cztery miliony pozbawione są przywileju edukacji.

Dzieciństwo w Mali nie jest wcale okresem bez troski i zabaw. Jest to dzieciństwo pozbawione zabawek, książeczek, które nie tylko zapełniają czas, ale i stymulują do rozwoju. Pamiętam sytuację, gdy chciałam zrobić niespodziankę moim córkom za bardzo dobre wyniki w szkole. W całym 60-tysięcznym Gao udało mi się znaleźć jedną zabawkę! Malutką lalkę z wypadającymi rękoma i nogami. Kilka miesięcy temu nasz kościół otrzymał dużą ilość paczek przygotowanych przez chrześcijan w Stanach Zjednoczonych. Była to niesamowita frajda i niespodzianka, choć musieliśmy pewne rzeczy z nich usunąć lub podawać instrukcje użycia. Ot, chociażby "Play dough" (masa plastyczna) o bardzo smakowitym zapachu wszystkim wydawała się gumą do żucia. Bo kto słyszał, aby coś ugniatać w rękach i jeszcze próbować z tego robić jakieś kształty! Po kilku próbach powstrzymywania dzieci przed zjedzeniem, musieliśmy je niestety z paczek usunąć.

Puzzle, nawet te proste nie wywoływały większego zainteresowania i ogólnie mówiąc, nikt nie wiedział, jak się za nie zabrać. Pasty i szczoteczki do zębów wymagały instrukcji obsługi, gdyż większość ludzi w Mali czyści zęby specjalnymi patykami, które żuje się w ustach. Niektóre przedmioty natomiast wzbudzały zrozumiałe zainteresowanie i radość, zwłaszcza latarki - jakże przydatne w domach bez prądu, czy pachnące mydła, jako kontrast do zwykłego, szarego mydła używanego tutaj do mycia się, zmywania naczyń i prania. Pewne zdziwienie wywoływały kolorowe notesy adresowe, bo mało kto, potrafił podać chociażby jeden adres swoich znajomych czy rodziny. Nawet ich własny był nieznany, gdyż poza nazwą dzielnicy, resztę opisywano w stylu: druga droga za apteką, dom z rosnącym obok drzewem czy niebieskimi drzwiami.

Frajdy z paczek było mnóstwo. A najbardziej podobały się plastikowe, zamykane pudełka, w które te rzeczy pakowano. Na ileż sposobów dało się je potem wykorzystać...

Dzieciństwo w Mali pełne jest obowiązków i pracy. Mali chłopcy część z niego spędzają w szkole koranicznej, ucząc się na pamięć fragmentów Koranu w języku, z którego nie rozumieją ani słowa. Po zajęciach w szkole chłopcy sami muszą zatroszczyć się o swoje wyżywienie. Po ulicach snują się tłumy dzieciaków, każdy ze swoją puszką po przecierze pomidorowym lub starą miską, do której zbierają resztki jedzenia i drobne datki. Podobno ma ich to nauczyć pokory. Bywa różnie, bo potrafią być bardzo natarczywi domagając się jałmużny.

Dziewczynki od najmłodszych lat przyzwyczajane są do obowiązków domowych. Często można zobaczyć 5 czy 6-latkę noszącą na plecach swoje młodsze rodzeństwo lub dźwigającą na głowach ciężkie wiadra z wodą. Jeśli tylko rodzinę stać na wystawienie czegoś na sprzedaż, na ulicach pojawiają się kilkuletnie dziewczynki z charakterystycznymi miskami na głowach, oferując na sprzedaż pokrojoną na ćwiartki kapustę, kilka papryczek chili, marchewki.

Dziewczynki wcześniej uczą się gotować, prać, opiekować młodszym bratem czy siostrą. To one chodziły po zakupy na targowisko. A kiedy ich pracowite dzieciństwo mijało, zwykle szybko wydawano je za mąż i ciągnęły kierat. Dzieci (teraz już własne), zakupy, gotowanie, noszenie wody... Serce płakało na widok młodych dziewczynek, zaledwie nastolatek, będących drugą, trzecią a nawet czwartą żoną podstarzałego pana, który często mógł być ich dziadkiem. Łatwo było przewidzieć ich los: kilka lat małżeństwa, kilkoro dzieci, z których tylko niektóre przeżyją, potem rozwód, kolejny ślub i tak dalej, aż trudy życia i wiek uczynią je mało atrakcyjnymi, aby ktoś jeszcze zechciał je poślubić. Potem przychodziła starość bez żadnego źródła utrzymania, bez alimentów na dzieci, bez zaplecza socjalnego, bez nadziei.

Może to obraz zbyt drastyczny, uproszczony, ale z wieloma podobnymi przypadkami spotykaliśmy się - grono starych kobiet, wdów, samotnych matek, których spotkał podobny los.

Poruszam temat szkoły czy też jej braku, gdyż 8 września uważany jest za Międzynarodowy Dzień Alfabetyzacji. Zdumiewa i przeraża ilość ludzi na całym świecie, którzy w XXI wieku nie potrafią czytać i pisać. Szkoła, na przykład w Afryce, to temat burzliwy i szeroki jak rzeka.

System edukacji mogliśmy poznać osobiście, gdyż nasze dwie córki uczęszczały przez kilka lat do szkoły w Mali. Nie miały najgorzej, bo szkoła była "prywatna" i klasy mniej liczne. „Tylko” 65-70 dzieci przypadało na jednego nauczyciela. W tych państwowych w jednym pomieszczeniu tłoczyło się czasem 100-120 pełnych życia istot, a utrzymanie porządku w takich warunkach było zadaniem herkulesowym. Często konieczne było przyniesienie własnego taboretu by znaleźć miejsce inne niż podłoga. Rano dzieciaki wędrowały sobie niosąc na głowie drewniane krzesła, a po lekcjach zabierały je z powrotem do domu. Kary fizyczne były codziennością. Na szczęście w szkole naszych dzieci, dyrektor i nauczyciele starali się mieć trochę inne podejście do pracy z dziećmi. Mogliśmy się z nimi porozumieć, by ewentualne problemy z naszymi dziewczynkami zgłaszać raczej nam, niż sami rozwiązywali biciem. Tylko raz musieliśmy ingerować i zdecydowanie sprzeciwić się biciu, gdy w drugiej klasie nasza młodsza córka wróciła ze szkoły z dwiema wielkimi pręgami na plecach. Nauczyciel użył wyciętego paska ze starej opony gdyż cała klasa nie była w stanie rozwiązać jakiegoś zadania z matematyki. Staraliśmy się zrozumieć nauczycieli: przeładowane klasy, bardzo niskie zarobki, brak jakichkolwiek pomocy dydaktycznych (tylko tablica, na której musieli wypisać i wymalować kredą wszystkie materiały do zajęć). Większość z nich nie znała innych metod. W szkole też ich karano i bito, więc skąd czerpać inne wzorce?

Nauka odbywała się w języku francuskim, który jest urzędowym w Mali. W tej mieszaninie języków (ponad 30 na 12 milionów ludzi), to dość rozsądne rozwiązanie. Etniczna mozaika jest zmorą Afryki, więc lepiej, aby urzędowym był język "neutralny". Wówczas wszyscy są w takiej samej sytuacji. Niełatwy był los dzieci rozpoczynających naukę i zazwyczaj nie rozumiejących francuskiego. Od pierwszego dnia wszystko odbywało się w tym języku. Czasem w pierwszych klasach sfrustrowani nauczyciele musieli tłumaczyć na jakiś język lokalny, zanim dzieci zaczęły ich rozumieć. Do tego dochodziły bardzo prymitywne warunki nauki w klimacie, gdzie 45 stopni w cieniu jest normą. Trudno jest wysiedzieć w rozgrzanych klasach bez żadnych wentylatorów, ściśnięci w ławce (zwykle w dwuosobowych siedziało 3-4 uczniów). Praktycznie spędzano w niej długie godziny: od 7:15 do południa, potem powrót do domu na obiad i popołudniu od 15 do 17. Niewielu stać było na kupienie podręczników i cała wiedza ucznia pochodziła z tego, co nauczyciel podyktował do zeszytu. Nie było kółek zainteresowań, zajęć pozalekcyjnych. Wiele dzieci nie mogło też liczyć na pomoc rodziców, którzy w większości byli analfabetami. W szkole naszych córek 1/3 uczniów nie przechodziła do następnej klasy i musiała ją powtarzać.

W tym morzu problemów, potrzeb i frustracji byliśmy my - misjonarze. Mogliśmy zrobić dwie rzeczy: załamać ręce i stwierdzić, że wiele zrobić nie możemy, albo spróbować coś zmienić, nawet, jeśli byłaby to tylko kropla w morzu. Najpierw pojawił się pomysł pomocy dla kilkorga dzieci, tych najbardziej chętnych. Dzięki pomocy chrześcijan z Polski i innych krajów mogliśmy sponsorować naukę około dziesięciorga dzieci. Oprócz opłacenia im szkoły, zakupu tornistrów i innych przyborów, musieliśmy również pomagać ich rodzinom. Czasem było to coś do jedzenia (ryż, mleko w proszku, proso, olej), czasem ubrania (często dzieci naprawdę nie miały co założyć do szkoły, a rodziny nie stać było na najtańsze klapki). W razie potrzeby kupowaliśmy lekarstwa nie tylko dla dziecka, ale i dla członków jego rodziny. Była też grupa dzieci, którym pomagaliśmy sporadycznie: czasem dziecko wyrzucano ze szkoły w trakcie roku szkolnego, gdyż rodziców nie stać było na zapłacenie reszty składki. Zwykle na początku roku szkolnego kupowaliśmy większą ilość zeszytów, długopisów itp. pomagając kilkunastu osobom.

Organizowaliśmy klasy alfabetyzacji dla dorosłych w języku tamaszek. Spróbujcie sobie wyobrazić osobę w średnim wieku, na przykład pasterza, który nigdy w życiu nie trzymał w ręce ołówka ani zeszytu czy książki. Jakim wyzwaniem dla niego jest nauczyć się poprawnie trzymać długopis, odpowiednio go przykładając do papieru, nie mówiąc już o pisaniu liter, ich zapamiętywaniu, zmaganiu, aby je złożyć razem. Tamasheq jest językiem bardzo trudnym, a nauczanie się czytania i pisania wymaga o wiele więcej godzin niż w innych językach w Mali.

Współtworzyliśmy książeczki do nauki czytania i matematyki w języku tamaszek i songai oraz inne proste broszurki mające pomóc ludziom w ich codziennym życiu. Drukowaliśmy setki egzemplarzy na naszych zwykłych drukarkach, po czym przez wiele godzin składaliśmy je razem. Praca, która w drukarni zajęłaby 2-3 dni, nam zajmowała miesiąc.

Była też klasa alfabetyzacji w Bambara – języku, w którym mówi najwięcej ludzi w Mali. Ta klasa była szczególna. Zaczęło się od spotkań/studium biblijnego w tym języku dla kobiet przychodzących

do zboru, ale w większości nieznających francuskiego. Spotkania odbywały się raz w tygodniu, w obozie wojskowym w Gao, gdzie większość kobiet mieszkała. W języku bambara dostępna jest już cała Biblia, jednak żadna z tych kilkunastu kobiet nie umiała czytać i pisać. Poprosiły zatem, aby je nauczyć. A potem zaczęły czytać, wcale nie szybko i płynnie. Czytanie było i jest dla nich ciężką pracą i wielkim wysiłkiem, który podejmowały oprócz trudów codziennego życia: są matkami, żonami żołnierzy, mieszkają w bardzo kiepskich warunkach. Ale czytały! I uczyły się wersetów. Nauczyły się nazw wszystkich ksiąg Biblii na pamięć (czy potrafimy je wymienić w kolejności?). A kiedy przychodziły na spotkania czwartkowe urządzały "zawody", która lepiej nauczyła się zadanego fragmentu z Biblii. W tym roku poprosiły o zorganizowanie im kolejnej klasy alfabetyzacji, bo chcą nauczyć się więcej i lepiej. I chcą też uczyć swoje dzieci. Zwykle, proste kobiety, bez wykształcenia.

A czy my mamy podobną determinację, aby uczyć się Słowa Bożego na pamięć? My, którym czytanie przychodzi łatwo, którzy możemy korzystać z komputera, różnych wydań Biblii i wielu różnych pomocy? Niech ich przykład zawstydzi nas, jeśli potrzeba i zachęci, abyśmy pokochali Boże Słowo, tak jak te proste kobiety Bambara z Mali.

Małgorzata Nawrocka